

BIBLIOTECZKA ŻOŁNIERZA
KORPUSU OCHRONY POGRANICZA

Nr. 17

2044

KONRAD
JOTEMSI

Kolekcja Sebastiana Nowakowskiego



NA
ZASADZCE
PATROLU

WARSZAWA 1937

BYŁO DWÓCH BRACI

Kiedy strzelec Mróz przybył po raz pierwszy z odvodu kompanii na strażnicę, uśmiechnął się z radością, że oto jest na miejscu. Tu przez kilkanaście miesięcy będzie jego dom i rodzina. Tu swą rzetelną służbą odda dań ojczyźnie, tu zapozna się z tak odmiennymi warunkami pracy żołnierskiej i życiem wsi kresowej.

Po pierwszych dniach żmudnego zaznajamiania się z odcinkiem, z tajemnicami „p. o.” i „z.”¹⁾ zaczął rozglądać się w otoczeniu, wczuwać w piękno przyrody i usiłował poznać ludzi, mieszkańców tej wsi. To jednak było najtrudniejsze, gdyż byli skryci, nieufni, żyjący całkowicie odrębnym życiem.

Strażnica była z typu tak zwanych policyjnych. Murowana, solidna, wygodna, otoczona starymi drzewami. W dół, ku rzecze, zbiegał ogród warzywny, w którym na grzędach złożyły się tarcze słoneczników, chwiały roztrzęsioną grzywą konopie i zwartą runią

¹⁾ p. o. = posterunek obserwacyjny.

z. = zasadzka.

naci pyszniła się obfitość ziemniaków. Przy brzegu był wolny pas pięciometrowy, obrzeżony tuż nad wodą wąskim pasmem sitowia. Dalej zaczynała się topiel błotna i woda, w najgłębszym miejscu dochodząca do sześciu metrów. Na przeciwnym brzegu piętrzyły się wysokie, poszarpane, jałowe wzgórza, wierzchołkami których nocą krążyły bolszewickie patrole. Wzgórza których nocą przerżnięte były jarami, prowadzącymi hen, tu i tam przerżnięte były jarami, prowadzącymi hen, ze stepu, w kierunku zawsze mętnej, powolnej wody.

Strzelec Mróz najchętniej chadzał na patrol koło młyna. Słonecznie tu było i wesoło. Woda z hukiem przelewała się przez stawidła, tarzała się po kamieniach, to znów chowała się gniewnie pod pokrowcem srebrnej piany. Mróz stawał na mostku i, jak urzeczony, patrzył w toń. Gdzież to pędzą te wody? Jakże wsie i miasta ominą, zanim roztopią się w czarnych falach morza? Jacy ludzie będą się w nich kąpać? Gdybyż tak, zwyczajem rozbitków morskich, napisać słów kilka i w zakorkowanej butelce z prądem puścić?

60

Często na mostek wychodził młynarz. Ubielony był cały. Pyl mączny osiadał mu na rzęsach i brwiach, policzkach i włosach, czyniąc go trochę podobnym do kłowna cyrkowego. Stary miał dwie pasje: córkę Eudoksję, którą kochał nad życie, i fajkę, nieodłączną towarzyszkę, na długim cybuchu. Córka była piękna, jak ta majowa zorza. Strzelec Mróz zapominał języka gdy

dziewczyna wychodziła ze swego pokoiku i biegając pławiła się w słońcu. Czasami zagadywała go, lecz wtedy wówczas wszystkie zawczasu przygotowane słowa wietrzały z głowy — więc milczał. Ona zaś śmiała się.

— Czemu pan taki milczący? Nie chce pan mówić ze mną?

— Nie wolno na służbie rozmawiać — burknął, czerwieniejąc.

— To niech pan przyjdzie po służbie. Pokażę panu swe gospodarstwo.

— Zobaczę... — Mróz nie chciał nic obiecywać.

Ukazał się młynarz i, stanąwszy na mostku, gwarzył:

— Ot woda, pieni się i leci, a dokąd leci — Bóg wie. A w wodzie rybki. A tu, pod kołem, sum wielki. Aj — aj, jaki wielki. Chyba na wzrost człowieczy. Już go widział parę razy. Bywało wodę wstrzymam, spokojnie jest, bardziej miało, tak on wychodzi na słońce pogrzać się. Uf, i wielgachny! Grzbiet jak ta deska...

Dłuższą chwilę cmokał swą fajkę, aż podjął na nowo:

— Albo ten jar za rzeką... Pogranicznik idzie wzdłuż brzegu, dojdzie do jaru i zginie. A dlaczego zginie? Bo tam jest przekop maleńki, którym on do starych okopów dostanie się. Na burcie poukładał kamienie i przez szparę patrzy, widzi wszystko, sam nie

będąc widziany. Chytra sztuka... A sam ten urwisty jar... Dawniej to była droga. Wozami do brodu zjeżdżali. Teraz i brodu nie ma i drogę deszcze do cna rozmyły, krzewy i trawy ją zarosły. A na tej tamie wszystko się zatrzymuje, co woda niesie. Tu i zdechły kot, i pies, i kura albo gęś; zdarzy się też, że i człowieka przyniesie... Wiadomo — wodzie wszystko równo...

Strzelec Mróz słuchał gadaniny starego, patrzył na wzgórze przeciwnej strony, gdzie na prawo przy lesie czerwienily się dachy sowieckiej „zastawy“ i myślał o swych dziecinnych latach, spędzonych w odwiecznie polskim Kamieńcu Podolskim. Gdyby tak pojechać prosto na wschód — trafiliby z pewnością. Możeby odnalazł brata, którego, wyjeżdżając przed kilku laty, pozostawili u ciotki chorego niemal śmiertelnie. Tęgi wyrostek musi być z niego.

Woda szumiała po kamieniach tamy, szeleszała w ciepłym wiatku schnące powoli liście kukurudzy. Jesień uśmiechała się bladymi promieniami słońca.

Strzelec Mróz zeszedł ze służby dopiero po północy i zasnął twardo jak kamień. Ostatkiem gasnącej świadomości słyszał, jak dowódca strażnicy nadawał telefonicznie meldunek sytuacyjny:

„P. o. 1 słyszał o godzinie 22 dwa gwizdy po sowieckiej stronie, a jeden po naszej.

P. o. 2 meldował wzmożony ruch patroli po sowieckiej stronie i turkot.

P. o. 3 zauważył o godzinie 14,10 trzech kawalerzystów, którzy plawili konie...”

Reszta słów rozplynęła się w słodkiej niemocy, kołyszącej znużone członki strzelca Mroza.

Zbudziło go gwałtowne szarpanie za nogi.

— Wstawać, wstawać, alarm!!!

Mróz zeskoczył z łózka, pięścią przecierał oczy i słuchał: tam, na dworze, grzmiała bliska strzelanina, pękały z hukami granaty ręczne i dziko krzyczeli jacyś ludzie.

Wyrwani z głębokiego snu, strzelcy chwyтали za karabiny i wypadali przed strażnicę. Sierżant ustawiał ich na z góry wyznaczonych stanowiskach.

We wsi panował zgiełk, zawrodoenie i popłoch. Wojna krwawym widmem stanęła mieszkańcom w oczach. Wojna, a więc ogień armatni, zniszczenie ich sadyb, utrata chudoby, ucieczka, tułaczka i nędza. Pakowali się pośpiesznie, wrzucali na wozy to, co im pod rękę wpadło, wyprowadzali bydło, podczas gdy inni stali bezmyślnie, patrząc na tamtą stronę, gdzie ciemność nocna raz wraz rozdzielana była krótkim, oślepiającym wybuchem, po którym kir nocy zdawał się być jeszcze bardziej nieprzeniknionym.

Strzelec Mróz, postawiony nad rzeką, skrył się za starą wierzbą i teraz, dygocząc z zimna i wewnątrz-



Kilkaścier muskularnych ciał skoczyło do wody.

nego niepokoju, doprowadził do porządku szczegóły umundurowania. Pas z ładownicami, przewieszony przez szyję, i dwa granaty ręczne, które pieczołowicie złożył w dziupli drzewa, stanowiły jego ekwipunek obronny. Sciskając karabin w garści oczy wbijał w mrok po drugiej stronie rzeki, pragnąc wyciarkować, co tam zaszło. Że nie chodziło tu o zamiary zaczepne bolszewików względem strażnicy domyślił się z tego, że kule nie gwizdały tu wcale.

Wreszcie zaczęło szarzeć i w miarę, jak rozwidniało się, dostrzegł na zboczach biegnących półkolem wzgórz gromadkę ludzi, zsuwających się ku rzece. Czasami odwracali się, strzelając do ledwie widocznych, otaczających ich cieni. Oto dopadali już wody, oto porzucali ubrania, oto plusnęła broń, pograżając się w ciemnej tafli rzeki, oto kilkanaście muskularnych ciał skoczyło do wody, płynąc na polską stronę.

Pozostałych kilku bezradnie kłębiło się na kamiennym brzegu. Pierścień prześladowców zaciskał się, a jednocześnie coraz bardziej tryumfujący wstawał dzień. Słońce wyłoniło się z poza skalnej bariery wzgórz na sowieckiej stronie i pierwsze jego groty jaskrawo oświetliły rzekę i pobliskie domy, wyławiając z ciemności ostre zarysy budynków i drzew, oraz kładąc w przeciwną stronę silne cienie.

Kule bzykały bez przerwy, rwały brzeg i trzaska-

ly po kamieniach, jak biczem. Kaśliwy postaniec śmierci trafił jednego z biegnących nad brzegiem uciekinierów i ten bez jęku zwalił się na ziemię. Z cichym bulgotem wypłynęła pieniaąca się krew, powieki parę razy podniosły się i opadły, twarz szybko żółkła. Pozostali, podnieceni tym widokiem, wpadli ciężko, niezgrabnie do wody. Nie było wyjścia. Tu kula bolszewicka lub niewola i tortury, gorsze od kuli, tu znów śmierć w nielitościwych falach rzeki...

Pogranicznicy byli już całkiem blisko i strzelali starannie, jak do zwierzyny. Była to zwykła rzeź, w której nasi żołnierze nic uciekającym nie mogli dopomóc, dopóki ci nie znaleźli się poza środkiem rzeki, a więc na polskim terytorium. Strzelec Mróz widział, jak walczyli oni z prądem rzeki i śmiertelnym strachem, widział, jak jeden trafiony zanurzył się pod wodę i nie wypłynął więcej, drugi zaś, trafiony widocznie, zabarwił wodę czerwoną plamą krwi i poszedł jak kamień na dno. Trzeci, najmłodszy, rozpaczliwie tłukł rękami wodę, nie dawał się głębi, powoli zbliżał się do brzegu.

— Nie boję, Moroz! — wołali szczęśliwsi jego towarzysze, stojąc już na polskiej ziemi.

Strzelec Mróz drgnął, usłyszawszy to nazwisko. Rysy walczącego o swe życie mężczyzny wydały mu się znajome. W tej chwili jednak do strzelca szybkim krokiem zbliżył się dowódca strażnicy.

— Mróz, skoczycie na strażnicę. Musicie za wszelką cenę połączyć się z odwołem kompanii i zameldować panu kapitanowi, co tu się dzieje. Wieczorka odeślecie tutaj. Fujara, nie umiemy sobie poradzić z telefonem.

— Rozkaz! — powiedział strzelec Mróz, oglądając się na odchodnym na rzekę, po której, jak korek, pływała jeszcze głowa osobnika, nazywanego Morozem.

Ustawiony na miejscu strzelca Mroza Wieczorek potrzebował dłuższej chwili na połapanie się w przebiegu wydarzeń. Jego rozlane, jakby zatarte rysy wyszlachetniały wówczas przez współczucie dla borykającego się z prądem człowieka. Jakiś czas wahał się, niby ważąc w sobie trudne postanowienie. Przemógł się wreszcie i, zdjawszy oporządzenie, zanurzył się w wodzie, czując, jak nogi po kolana wchodzą w gęstą maź. Usiłował podać tonącemu ułamaną gałąź wierzby, lecz była zbyt krótka. Więc posuwał się dalej. Dno stawało się nieco twardsze, ale zarazem wymykało się spod nóg. Musiał płynąć, wpatrzony w tamtego, co szarpał się ostatkiem sił. Widział jego wysadzone przez strach i wysiłek oczy i krzyknął:

— Trzymaj się!

Błysk szczęścia rozjaśnił twarz tonącego i nagle zgasił. Przerazenie i ból wykrzywiły jego rysy i jak odzew zabrzmiało wołanie: „Ratunku!“ Woda por-

wała go. Jeszcze raz wychynął, jeszcze raz ujrzał twarz żołnierza z jarzącym się nad nią orzelkiem.

— Ratunku... — zachrypiął raz jeszcze, poczem woda natarczywie wdarła mu się w usta i nos, zaszuwała w uszach, zakręciła, poniosła...

Wieczorek wolno zawrócił do brzegu, wygramolił się ociężale, a potem, trzymając karabin w garści, drugą zwinął w pięść i krzyknął, grożąc pogranicznikom z przeciwnej strony:

— Mordercy!

Uratowało się piętnastu. Byli to uczestnicy jednego z licznych powstań miejscowych na Podolu sowieckim. W uspokojonej wsi zarządzono doraźną zbiórkę, aby przydziać drżących z zimna i świeżo przebytych wzruszeń uciekinierów. Przystrojonych w dziurawe portki i koszule odesłano do dowództwa kompanii, a na strażnicy i we wsi życie poszło zwykłym trybem. Zajęty służbą strzelec Mróz nie zdołał nawet urwać kilku minut na przepytanie się wśród partyzantów o tajemniczego Morozą. Zresztą rozkaz dowódcy nie pozwalał na wdawanie się w pogawędkę z przybyszami z tamtej strony.

Trzeciego dnia strzelec Mróz miał wolną dobę. Po śniadaniu wybrał się do młyna — niby na spacer, rzeczy samej w nadziei zobaczenia Eudoksji.

Był piękny mały poranek. Nad wodą kilka bab prało szmaty, łomocząc kijankami, aż echo rozlegało

się w stromych ścianach przeciwległego jaru. Odgłosy te bezsprzecznie bardziej harmonizowały z otoczeniem, aniżeli niedawne jeszcze echa strzelaniny, jęków i mordu. Mrozowi zebrało się na sentyment. Przypomniały się „cywilne“ czasy, dobre piękne książki i nierzeczywista wprost w tych warunkach — poezja. Taki, na przykład, wierszyk „Baby“:

*„Wietrzył łaci wesolo
nad borem...*

*Rozgadały się baby
wieczorem:*

*rozgadały — plotkowały —
powiadały — obracały
jęzorem.*

*Te koszule ich bielsze
od mąki,
a spódnice szumiące
jak bąki:*

*bufiaste — pasiaste —
kropiaste — kraciaste
jak ląki¹⁾.*

Jedna z piorących kobiet zgrabnymi rzutami zgarniała wyrzucone w wodę płótno. Czarna, jak cyganka, szczyrzyła do Mroza zęby. „Durna, czego się śmie-

¹⁾ Xenia Żytomirska.

je?" — gniewał się w duchu. Na murawie białaly pa-
sy rozłożonego na słońcu samodziału, obok poważ-
nie spacerowały wrzaskliwe gęsi. Mała dziewczynka
ciągnęła za rękę ledwie umiejące chodzić maleństwo.
Oboje obficie wysmarowani naftą. Strzelec Mróz za-
interesował się tym.

— Czemuż to dzieciom głowy smarujecie naftą?
Robactwo?

— A cóż — odpowiedziała czarnucha — wiado-
mo, w polu pracy dużo, dozór trudny, tak i zalegnie
się.

— Lepiej sabadyllą. Od nafty psują się włosy.

— Takim małym nafta nic nie szkodzi.

— Cóż to, wasze dziecko? — zagadnął inną, wy-
glądającą na lat osiemnaście. Nie wierzył temu. Ot,
zapytał dla śmiechu.

— A pewni. Siedemnaście lat miała, jak zamąż-
wyszła — roześmiała się młoda mężatka.

— Mąż jej teraz w trzeciej baterii 12 regimentu w
Złoczowie służy — wtrąciła się inna, w tym dziwnym
żargonie, będącym mieszaniną języków polskiego, u-
kraińskiego i rosyjskiego. Stały pobyt w nadgranicznej
miejscowości i wojenna wędrowka po Rosji kształto-
wały tę pokraczną gwara.

Ale Mroza pochłonęła już inna myśl.

— Powiadacie, że tu tak głęboko? — rzucił pyta-
nie.

— Spróbujcie, panie — wyzywająco odpowiedzia-
ła czarna. — W tym miejscu już się trzech waszych u-
topiło.

— Dwa lata temu kąpali się żołnierze — podjęła
ta, która płókała płótno. — Jeden drugiego uczył pły-
wać, potem wyprowadził tu, na głębie, i puścił. Tak
ten rączkami chłop — ciałap! „Jezus — Maria, ratun-
ku!“ — krzyknął. Tonic. Dopiero żołnierze po brzegu
biegają, krzyczą, a ten co go tam wprowadził —
biały jak ten papier i włosy z głowy rwie... Tak i uto-
nął.

Mrozowi zrobiło się nieprzyjemnie. Pożegnał się
i poszedł dalej. Wierzyby i czeremcha tworzyły nad
ścieżką jakby zielony baldachim, przez który prze-
świecało błękitne niebo z białymi zwałami obłoków.
Po lewej ręce w szuwarach szemrała rzeka.

Oto i młyn. Przy tamie młynarz z grabkami w ręk-
kach wylawiał różne śmiecie, odrzucając je w bok.
Jak zwykle mruczał coś do siebie. Strzelec Mróz
wszedł na tamę, przywitał się ze starym i splunął z o-
brzydzeniem na widok wydobytej kaczki, z której po
dłuższym pobycie w wodzie pozostał tylko kawałek o-
ślizgłego mięsa i dziób.

— To nic strasznego, panie żołnierzu — zaśmiał się
młynarz. — A oto popatrzcie, jakiego suma woda dziś
przyniosła...

Dziwna rzecz: w głowie strzelca Mroza kołocze się
zwrotka wiersza:

“...a spódnice szumiące jak bąki...”

Ale jest daleki od jakiegokolwiek podejrzenia.

Mróz spojrział, postąpił parę kroków i znów sta-
nął.

Opodał na kamieniach, z wiązanką pachnącej mię-
ty i piołunu pod głową, leżał topielec, nabrzmiały, od-
rażający i zarazem taki biedny...

Coś nieodparcie ciągnęło Mroza bliżej. Podążyć,
popatrzeć. To chyba ten, co utonął tej pamiętnej no-
cy?

Wielkie muchy z brzęczeniem kradły obok twarzy
topielca, u którego nad lewą bryłą ciemniała duża
szrama, pamiątka chłopięcych karesów. Strzelec Mróz
spojrział raz jeszcze, przypominając owe „nie bojś,
Moroz” i z cichym jękiem padł przy trupie na kolana:

— Michaś, więc to ty, bracie!